

Całująca się w malinach

Ze sceny padają słowa, które wracają raz po raz, wyznaczając rytm całej opowieści: „i to mi zostało”. Po urodzeniu Krystyna Feldman była podobno bardzo maleńka, nawet jak na niemowlę. I to jej zostało

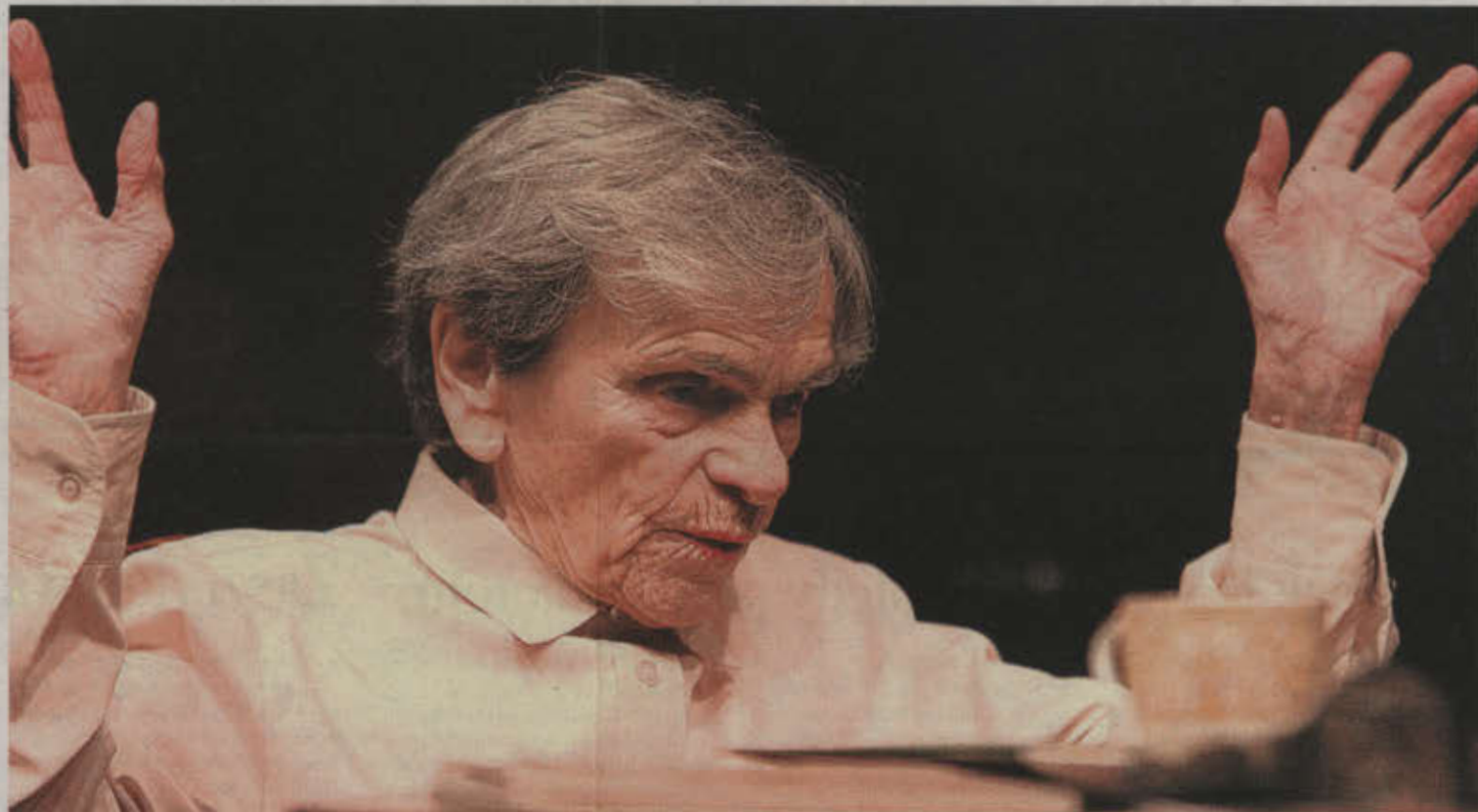
MARTA KAZMIERSKA

Mistrzyni epizodu, przy czym raczej złośliwa sąsiadka niż łzawa amantka - tak najczęściej porządkujemy sceniczną biografię Krystyny Feldman. Obsypana deszczem nagród za rolę Nikifora Krynickiego w filmie „Mój Nikifor” po długich latach przed kamerą nareszcie zaistniała na dużym ekranie w roli głównej, choć męskiej. Obsypana deszczem nagród za Nikifora pozostała sobą. Ale jak tu nie być sobą, gdy jest się postacią tak charakterystyczną?

O tym, co ukształtowało jej sceniczną i pozasceniczną osobowość pani Krystyna opowiada w monodramie „I to mi zostało”. Spektakl to niespektakl. Raczej bliskie spotkanie z aktorką w zacisnej Trzeciej Scenie Teatru Nowego. Na scenie przedwojenne meble: stare zdjęcia na ścianach, kredens, okrągły stół, ciężkie krzesła. Wśród nich ona: Krystyna Feldman. Jeszcze bardziej prawdziwa w najtrudniejszych życiowych rolach, również tych, o których słyszeli dotąd nieliczni.

- Z korepetytorem mojego brata całowałam się raz w malinach - wyznaje z szelfnowskim uśmiechem. A potem opowiada o wojennej gehennie, powojennej tułaczce za chlebem po Polsce i o tym, że oprócz aktorstwa miała się w życiu także innych prac. - Trzeba było ogród skopać, drewno porąbać, pomyć to i owo - wylicza. - Robiłam wszystko z wyjątkiem gotowania. I to mi zostało! - powtarza swój sceniczny refren.

Artystka sięga do najodleglejszych zakątków pamięci do dzieciństwa spędzonego we Lwowie, w Krakowie i w Zakopanem i na Ukrainie. Opowiada



Spektakl-niespektakl: łatwo poddać się nastrojowi i uwierzyć, że nie przyszliśmy na monodram, lecz na prywatne spotkanie z aktorką

o ojcu Fryderyku Feldmanie, aktorze oraz o mamie Katarzynie Sawickiej, śpiewaczce operowej. Jest w jej gawędzie miejsce i dla brata, i dla siostry, i dla psów, m.in. przygarniętego tuż po wojnie airdale teriera i dla lwowskich przysówek. Jest też ślad po mężu, który zmarł w 1953 r., jesienią. Kilka miesięcy wcześniej umarł Stalin.

Krucha, drobna aktorka przywołuje swoje pierwsze sceniczne doświadczenia z energią i humorem właściwym

podlotkom. - A co ja galam? Przeważnie chłopaków albo jakieś tam kocmochy charakterystyczne - macha ręką. Potem milknie na chwilę, wspominając, jak po 17 września 1939 r. uciekał za granicę polski rząd. - Ja to wszystko widziałam - wyznaje gorzko. Dowiadujemy się też, że było w jej życiu miejsce na bunt: gdy nie chciała grać w przedstawieniu będącym peanem na cześć znieprawdzonego ustroju. I gdy pewnego mroźnego grudniowego dnia na

ekranie jej przenośnego telewizorka ukazała się specyficzna twarz w ciemnych okularach. By uregulować odbiór, trzeba było najpierw stuknąć w obudowę telewizorka. Pamiętnego dnia aktorka skorzystała z tej możliwości kilkakrotnie. - Szkoda, że nie poczuł tego uderzenia - mówi dziś.

To wszystko jest w monodramie „I to mi zostało”, wzruszającej, ponadgodzinnej lekcji historii. Krystyna Feldman, opowiadając na scenie o swoim

życiu, dopisuje jej pokazny rozdział. Ważny rozdział. ●

marta.kazmierska@poznan.agora.pl

„I to mi zostało”, na podstawie opowieści biograficznej „Krystyna Feldman” spisanej przez Tadeusza Żukowskiego. Adaptacja: Sergiusz Sterna-Wachowiak. Opieka reżyserska: Robert Gliński. Scenografia: Marta Roszkopf. Prapremiera: 16 grudnia 2006 r., Teatr Nowy.